TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK »GŁOSU NARODU«

Rok III | Kraków, niedziela, dnia 13 lutego 1938 r. | Nr 7

Stanisław Pigoń

K. H. Rostworowski jako dramaturg

K. H. Rostworowski sam opowiedział, jak się stał literatem. Od muzyki, która go w młodości pochłaniała wyłącznie, niespodzianie pociągnięty w dziedzinę dramatu, mocował się z tą formą twórczości czas dłuższy bez powodzenia. Padł dramat **Pod górę**, padło **Echo**, **Żeglarze** w ogóle nie dostali się na scenę. Aż wreszcie czwarta sztuka, **Judasz**, niespodzianie osiągnęła od razu najwyższy sukces; ćwierćwiecze zaś następnie dowiodło, że sukces był nie przejściowy, że dramat działa ze sceny wciąż z tą samą siłą, że może być policzony między najwyższe osiągnięcia współczesnej literatury dramatycznej.

Późniejsza twórczość dramatyczna Rostworowskiego niejednokrotnie miała sprawiać takie „niespodzianki". Niespodzianki w oboim: dodatnim i ujemnym znaczeniu. Jawią się tam dzieła rangi jak najwyższej obok — powiedzmy szczerze — nieudanych, i to w porządku nie dającym się określić, nieoczekiwanie, przyniesione mocą jakiegoś niepochwytnego prawa fluktuacji natchnień.

Dość tego, by się zorientować w dziwnym fenomenie, jaki przedstawia ta twórczość. Widać jasno, że jest to twórczość żywiołowa, wybucha, czy przycicha spontanicznie, w kolejności nie dającej się przewidzieć, z potęgą coraz to inną i z różnym efektem. Jużcić są tam czynne jakieś siły przyrodzone, które sprowadzają owe okresy posuchy, owe nagłe wybuchy burz rodzajnych. Przy wykreślaniu atoli rytmu tej twórczości, przy dochodzeniu w niej jakiegoś panującego tam prawa regularności — wszelki PIM krytyczny byłby bezradny.

Niemniej z takiego stanu rzeczy można i należy wyciągnąć pewne wnioski. Pierwszy ten, że zjawisko to bynajmniej nas nie zaskakuje, nie jest w dziejach piśmiennictwa czymś niebywałym; znamy je skądinąd, u wielkich twórców polskich (np. Kasprowicz) i pozapolskich (Byron); owszem można by powiedzieć, że znamionuje ono stale twórców typu inspiracyjnego. Mickiewicz w tym widzi wyższość Homera nad wszystkimi późniejszymi twórcami, że nie ma u niego bohaterów, by tak rzec, jednostajnie bohaterskich. „Wojownicy homerowscy mają dni pomyślne i niepomyślne, chwile odwagi i trwożliwości niepojętej dla nich samych. Często któryś z nich... traci nagle serce, wyznaje to otwarcie, ucieka nawet z pola bitwy". — Homer, zdaniem Mickiewicza, pochwycił był już tę wielką prawdę, że bohaterstwo zależy od tchnienia wyższego, a ludzie mogą pójść za natchnieniem tym, albo je odepchnąć, — „i to stanowi całą tajemnicę ich powodzeń lub niedoli".

Ta prawda odnosi się i do bohaterów twórczości, do poetów. Fluktuacja natchnień i dla nich jest faktem doznanym, oczywistym, stanowi ona również całą tajemnicę ich powodzeń lub klęsk. To miał na myśli Norwid, mówiąc: „jest-że się poetą, czyli raczej tylko bywa się?" Otóż trzeba powiedzieć, że Rostworowski w tym zmiennym rytmie wybuchów twórczych bywa poetą, bywa twórcą wizji dramatycznych, panem sceny polskiej jednym z najmożniejszych.

Wniosek drugi taki: Tego rodzaju twórczość spontaniczna, wybuchająca mocą jakichś iracjonalnych sił duszy, potrącanych nieuchwytnymi impulsami, właśnie swobodnymi powiewami natchnienia, — idzie kędy chce, „**ubi vult**", jest nie tylko w wartościach, ale także w zakresach swych i w rodzajach różnorodna i z góry niewymierna. Tak właśnie jest z Rostworowskim. Bywał on publicystą i krytykiem, bywał lirykiem, nawet tęgim, przede wszystkim jednak jest dramaturgiem. — W dziedzinie dramatu próbował się w komedii, dał groteskę sceniczną, dramaty historyczne i współczesne, już to wyrosłe z palących problemów dnia, już też sięgające czystej treści człowieka, dalej misterium wzorowane na prymitywnych zabytkach średniowiecza, a obok tego dramat naturalistyczny. Takie jest zróżniczkowane bogactwo gatunkowe jego twórczości.

Nie inaczej ma się sprawa w świecie wewnętrznym owego zasobu. Jeżeli, z racji Szekspira, stwierdzono, że najwyższą sztuką dramaturga jest stwarzanie dusz ludzkich w zazębieniach konfliktów, jeżeli miarą różnorakości i bogactwa tych dusz mierzy się wielkość twórcy, to trzeba powiedzieć, że miara Rostworowskiego jest rozległa, sztuka wyczarowywania z przedstworzennej mgławicy fikcyjnych osobistości dramatycznych bardzo wysoka. Monarchowie i żebracy, święci i zbrodniarze, przyjaciel wierny i najnędzniejszy zdrajca, ludzie przerafinowani i prostacy, heroiczni i podławi, apostoł, żołdak, chłop, kupiec czy inteligent, — skala osób dramatycznych ledwie zaznaczona, a jakże rozległa! Wszyscy zaś ujęci żywo, wyraziście, prześwietleni na wskroś błyskami introspekcji, może krótkimi, ale przenikającymi aż do dna, aż do najgłębszych wiązań duszy, odrębni, walczący, właśnie dramatyczni; widzianych raz — nie sposób ich zapomnieć, ani pomylić.

Ludzie ci splotami konfliktów powiązani są wzajemnie w sprawy dramatyczne, ujęci w osobne kłębowiska dążeń, mocowań się i przemagań, niesieni wirami namiętności, wpleceni w rozpaczliwy taniec życia i śmierci. I znowu powiedzieć trzeba, że ilość tych konfliktów, różnorakość ich formacji, ich napięć i pogłębień, jest bardzo wielka. Ograniczona może o tyle, że autor ma wyraźną predylekcję do życia duszy głębinnego, unika dróg wierzchnich, tłumnych i utartych (nie znajdziesz u niego np. koronkowej gry miłosnej), wiązania akcji opiera na sumieniu, wypełnia ją głównie problematyka etyczna.

Bogatym zasobom żywiołowo wzbierającej wyobraźni autora zawdzięczamy, że owe konflikty dramatyczne coraz są inne, nie powtarzają się, nie poddają się naturalnemu, zdawałoby się, prawu ciążenia ku schematyzacji i manierze. W strukturach dramatycznych Rostworowskiego nie ma odbitek, wariantów, zarysy ich i wiązania zawsze są nowe, zawsze niespodziane. Jest chyba wydarzeniem zgoła odosobnionym, żeby sędziowie konkursowi — jak to było przy **Niespodziance** — z języka, ze stylu całości, nie mogli nawet się domyśleć autora, mającego już przecież za sobą duży i skrystalizowany w typie dorobek literacki. Tak był właśnie do całego siebie wcześniejszego niepodobny, nowy.

Rzecz jasna, nie tu miejsce na szczegółowy przegląd owych konfliktów, stanowiących bogactwo dramatyczne Rostworowskiego, ni na ich szerszą analizę. Dość będzie wskazać ogólnie ich zasięg i wyznaczyć naturę ich dynamiki. Wystarczy więc powiedzieć, że grupują się one w kilku punktach ogniskowych, skupione tam jakby w soczewkach przez przyrodzone zainteresowanie artysty i człowieka.

Najpotężniej oczywiście płonie ognisko człowieczeństwa samego w sobie, najbogatszy jest zespół konfliktów czysto ludzkich, powiedzmy od razu: człowieczeństwa cierpiącego. Uwagę artystyczną Rostworowskiego przyciągają ludzie nie jacyś nie pospolici, giganci cnoty czy zbrodni, bohaterowie rzucający losowi w twarz zuchwałe wyznania, zrywający się na wyważanie świata z jego posad. — Przeciwnie. Serce jego i miłościwa uwaga artystyczna skłaniają się raczej ku człowiekowi drobnemu, udręczonemu losem, miotającemu się rozpaczliwie w sidłach zła i grzechu; z takich to ludzi artysta przede wszystkim pragnie wydobyć czystą treść człowieka, by nią przykuć i wstrząsnąć widzów. Tutaj też, w tej dziedzinie mieszczą się najwyższe osiągnięcia artystyczne Rostworowskiego, tutaj dał on kreacje dramatyczne niezapomniane, jedyne. Raz widziane nie zejdą nam już sprzed wyobraźni: czy to ów łachman ludzki, sklepikarz w Galilei, wlokący się za apostołami z postronkiem na szyi, czy ten cezar zadławiony przez nikczemność czasu, czy też zastygła w przerażeniu twarz Szybałowej drącej na strzępy paczkę dolarów, czy wreszcie profesor Szybalski, łamiący się pod ciężarem odpowiedzialności, za wielkim na jego zwiotczałe barki. W postaci te, wyczarowane z nicości magiczną władzą wyobraźni, zaklął dramaturg swą pasję artystycznego wespół-czucia.

Ale konflikty to nie jedyne w dziele dramatycznym Rostworowskiego. Przed wyobraźnię jego nawijają się także wielkie sploty zjawisk dziejowych, zbiorowych dążeń i klęsk zbiorowych. Umie on ująć w skondensowany skrót dramatyczny fatalizm wewnętrzny rewolucji francuskiej. Palące problemy współczesności polskiej, powojennej skłoniły go dwukrotnie do zwarcia ich w wyraz dramatyczny. Nieodparcie też i najsilniej fascynuje go wiekowy dramat ludzkości, sens jej pochodu dziejowego i przerażająca tajemnica jej kresu. — Dwukrotnie ujmował Rostworowski w kształt sceniczny swą wizję historiozoficzną, raz w grotesce marionetkowej **Straszne dzieci**, drugi raz w oratorium pasyjnym **Miłosierdzie**. — Tutaj zwłaszcza z wstrząsającą siłą wyrazu narzucił nam dramaturg eschatologiczną wizję sensu istnienia. Z tego powodu utwór to szczególnie symptomatyczny. —

K. H. Rostworowski

Przypowieść

(Ze „Zmartwychwstania")

Onego czasu, chcąc zawrzeć przymierze
z ludem swoim, niektóry król sprawił wieczerzę
i rzekł do sługi swego: „Rozgłosisz tę mowę:
przyjdźcie wszyscy, albowiem już wszystko
gotowe".

I sługa szedł, i wzywał i głodne, i syte,
i nagie, i najdroższą purpurą okryte —
i rzuciły się tłumy do pańskiego stołu,
aby, w obliczu króla, ucztować pospołu.

Atoli, w ciągu drogi, stanęli na czele
ci, którym się najwięcej dostało w udziele.
Jako, że wykarmieni, większe mieli moce,
jako że obsłużeni, dłuższe mieli noce —

biegli więc lotni, krzepcy na ciele i na duchu,
nie dając tym śpieszącym za nimi posłuchu.
I rzekł im król: „Siadajcie". I z królem zasiedli,
i w obliczu królewskim i pili i jedli.

I rzekli: „Panie, rozkaż, by zamknięto wrota,
gdyż na drodze została się sama biedota,
która nawet nie umie siąść przy takim stole".
I rzekł król: „Wasza wola" — i spełnił ich wolę.

Ale oto posłyszał pośrodku biesiady
zrazu pomruk stojącej za drzwiami gromady,
potem jakoby skargę, potem jakby grzmienie,
i rzekł: „Wrota otworzyć każe mi sumienie".

I rzekli biesiadnicy: „Są brudni. Nie chcemy".
I rzekł król: „To ich przedtem z brudu
omyjemy".

I rzekli biesiadnicy: „Są głupi w rozmowie".
I rzekł król: „To się każdy czegoś od nas dowie".
I rzekli biesiadnicy: „Niech ruszają w pole".
I rzekł król: „Wasza wola", i spełnił ich wolę.

I stało się, że nagle zatrzeszczały wrota
i wtargnęła do sali już tylko — hołota:
dzika, zawistna tłuszcza, zwierzęca na poły,
by tratować potrawy i przewracać stoły.

I rzekł król: „Czyja wina? Czyja wielka
wina"?...

Rodacy! — Odpowiedzi nie daje ruina!
Trzeba pytać zawczasu, by w biesiadnej sali,
przed obliczem Ojczyzny wszyscy ucztowali!

K. H. Rostworowski

„Ideały" ubiegłego wieku

Z okazji XIV „Tygodnia Społecznego", urządzonego przez katolickie stow. młodzieży akademickiej „Odrodzenie" w Krakowie, w grudniu 1935 r., ś. p. K. H. Rostworowski, zaproszony przez Komitet „Tygodnia", nadesłał pismo, w którym daje wyraz swej głębokiej wierze w świetną przyszłość katolicyzmu i odrazie do bezbożnych, pozytywistycznych, kierunków. Pismo to nie drukowane dotąd (z wyjątkiem tygodnika „Odrodzenie"), podajemy dzisiaj, korzystając z uprzejmości Ks. dr. Stan. Czartoryskiego, na którego ręce wpłynęło.

Nie mogąc z powodu zdrowia brać udziału w Tygodniu Społecznym młodej inteligencji katolickiej, pragnę przynajmniej listownie połączyć się z nią całym sercem i wyrazić głęboki żal, że nie mogę zasiąść w jej gronie. Ale za to przenoszę się myślą do tych czasów, kiedy pracując z nią razem, czułem wokoło siebie tężyznę moralną, bezinteresowną gotowość do ofiar, miłość, która „wszystko przetrwa" i wiarę, która każe „rzucić się w morze" spiętrzonym górom, naprawdę szatańskich doktryn.

Bo może nigdy młodzież nie była tak osaczona, jak jest obecnie.

Przez stopięćdziesiąt lat pracowali fałszywi prorocy nad budowaniem ślepych ulic pozytywizmu, ażeby wszelka metafizyka błąkała się i konała gdzieś „extra muros" wszechmocnego rozumu. Przez stopięćdziesiąt lat głosili ewangelię „oświecenia", ucząc: „Niech mowa wasza będzie: wiem, wiem", bo kto wie, ten wierzyć nie potrzebuje, a kto wierzy ten staje się jako „miedź brząkająca albo cymbał brzmiący". I przez stopięćdziesiąt lat, podcinając skrzydła ludzkości i naginając jej kark ku ziemi, zamknęli ją w ciasnym kolisku materializmu, ażeby walczyła wyłącznie o królestwo tego świata i miała za ostateczny cel — użycie.

Ten cel odziano w pyszne szaty, przerobione z ornatów i ozdobiono koroną, ukutą z rozbitych cyboriów i monstrancyj. Tak jest. Obrabowano naukę Chrystusową, ażeby z miłości bliźniego uczynić miłość własną, żeby podzielić ją na klasy nienawidzące się nawzajem i wyrywające sobie z rąk tłuste połacie dobrobytu — obrabowano naukę Chrystusową z braterstwa, żeby zamienić je w humanitaryzm wyposażony w gazy trujące, bomby i karabiny maszynowe — poniżono Chrystusową Prawdę, żeby wywyższyć kłamstwo, jakiego świat nie widział — stworzono różne etyki i różne cnoty, które się wzajemnie znoszą — poprzylepiano cudne etykiety na tę najpierwotniejszą moralność dzikusów, iż dobrym jest zjeść człowieka, a złym jest być przez człowieka zjedzonym — nagromadzono tyle „pro" i „contra", że być w porządku z własnym sumieniem i przejść przez życie bez makuły można chyba tylko wtedy, gdy Bóg oświeci łaską i każe Aniołom swoim usuwać z naszych dróg nie „ostre kamienie", ale wilcze doły, które powykopywano na naszej drodze, być zabić w nas roztropność, wstrzemięźliwość i męstwo.

Toteż, bliski końca a nie początku, życzę młodzieży dzisiejszej, żeby chroniła skrzydeł wiary jak największego skarbu, bo tylko na tych skrzydłach potrafi unieść się w górę, wyminąć zasadzki przeszłego stulecia i stworzyć naprawdę nowe Jutro.

—o—

Dokończenie ze strony I.

W nim może najwyraźniej odsłoniło się to, co wyciska najistotniejsze znamię na całej twórczości dramaturga, mianowicie jego koncepcja tragizmu, przynosząca najpełniejszy wyjaw jego poglądu na świat.

Stwierdziwszy, że Rostworowski za bohaterów swych dramatów obiera ludzi małych, gnących się pod ciężarem wielkich zadań, że ukazuje głębię ich cierpienia, wyciągano w krytyce naszej wnioski o imanentnej jakoby nietragiczności jego utworów. Budzą — mówiono — współczucie, litość, a nie grozę, nie niosą wstrząsu ni wyzwolenia tragicznego. Osąd stanowczo mylny. Nie uprzytomniono sobie należycie najpierw, że dramaturg nie uwalnia ostatecznie tych małych bohaterów od odpowiedzialności za małość i za zło, które ich przygniata: moment „winy tragicznej" występuje u niego wszędzie dostatecznie wyraźnie. Powtóre zaś nie zauważono, że wszyscy ci pomierni ludzie: Judasz, Kaligula, czy Szabałowa, wolą tragika wpleceni zostali jakby w bezlitosne koło istnienia, poruszane prawem jakiegoś wyższego porządku, i że tragizm tkwi tu nie tyle w poczynaniach człowieka, ile właśnie w nieuniknionych obrotach tego kamiennego koła bytu.

Rostworowski jest par excellence tragikiem procesów etyczno-religijnych, ogarniających wielkie skupienia dziejowe, całą ludzkość. Spostrzeżono to dawno i najsłuszniej, że koncepcja tragizmu sformowała się u niego na podłożu pesymizmu. Poeta przerażonymi oczyma wpatrzony jest w sprawy świata, leżącego — według słów Pisma — „w złem", i w tym przeraźliwym wirowisku zła nie dostrzega dla ludzkości, kłębiącej się w jego odmętach, samoistnych sił ratunku. Zbankrutowała naiwna wiara w. XIX w automatyczny postęp świata, w samorzutne wyrastanie ludzkości ku Królestwu Bożemu na ziemi. Bo Królestwo Boże nie jest z tego świata. — „Nie przetworzą ziemi wszystkie usiłowania nasze i w przededniu jej końca nie będą ludzie tonąć w dobrobycie cywilizacji, lecz schnąć będą, jak powiedziano, z ucisku i strachu" (M. Zdziechowski). Tragedią jest sam nasz byt doczesny.

Pesymizm Rostworowskiego nie zamyka się jednak w widnokręgu rozpaczy. — Jest pesymizmem chrześcijańskim, dopuszcza wyjście z tego rozpaczliwego koła jedno, mianowicie w górę, po promieniu łaski. Winą tragiczną człowieka, owych drobnych, udręczonych, zaszczutych przez zło „bohaterów" dramatycznych, jest to, że w chwili właściwej samochcąc nie zdołali wznieść się do stanu łaski, albo też jak w Miłosierdziu, wybłagawszy ją jękiem „de profundis", nie umieli się na jego poziomie utrzymać. Tymczasem bez tego człowiek, ludzkość grzęznąć będzie coraz głębiej w grzech, w zło, w zatratę. W tym właśnie leży tragizm świata. Tego świata, który przejrzany na wskroś przerażonymi oczyma poety — ujęty został w surowe nawy misterium pasyjnego.

Jeżeli uznamy prawdziwość słów Szekspira, że przeznaczeniem teatru, „jak dawniej, tak i teraz, było i jest: służyć za zwierciadło naturze... pokazywać światu i duchowi wieku postać ich i piętno", to w tragediach Rostworowskiego dostrzeżemy snadnie postać i piętno ducha naszego wieku, odbite w tafli przeczystego zwierciadła: sztuki. — Że postać to i piętno ponure, — czyż poetę o to winić?

Adam Bar

Wśród książek

Opowiadania *Marii Dąbrowskiej* p. t. *„Znaki czasu"* (wyd. J. Mortkowicz), jak autorka we wstępie zaznacza, powstały w różnych latach i dotyczą ludzi, którzy „wskutek przypadkowych lub istotnych okoliczności nie przejawiają pełni bogatego i wszechstronnego istnienia. Dają jednak w miarę sił, pośród gorączkowej lub skrzętnej aktywności, przynajmniej znaki życia". Czas jednak w powstaniu tych nowel nie gra żadnej roli, wszystkie są odbiciem jakiejś melancholijnej zadumy autorki nad życiem, szukaniem w niej rozwiązań pewnych spraw, które plączą się mniej lub więcej silnie w duszy każdego człowieka. Rozwiązania tych zagadnień szuka Dąbrowska przeważnie w pojęciu dobra, które jest dla niej najbardziej ważką wartością w życiu człowieka. Dąbrowska tłumaczy się, że dramat księdza Filipa, który czuje w sobie brak powołania do wielkiej misji duchowej, nie jest wyrazem jakichś jej osobistych uprzedzeń że w opowiadaniu o pannie Winczewskiej nie można widzieć potępienia bibliotek wojskowych, że wszędzie szukała ogólniejszych wartości, które zrzucając z siebie fałszywy nalot uprzedzeń, można znaleźć w każdym człowieku. Dramat księdza Filipa to obraz męki człowieka, w którym ostra dysharmonia między poczuciem świętości powołania a łamliwością charakteru staje się trudną do przezwyciężenia, zmienia się w krzyżową drogę udręczenia. Panna Winczewska to znowu człowiek zahukany przez życie, tułający się na szerokim bezmiarze codziennych spraw w nieukojonej samotności. Podobnie jakaś tajemnicza zagadka błąka się w duszy Oktawii albo w dramacie studenta, maltretowanego przez moskiewskich żandarmów. Wartość człowieka, jego myśli, jego istnienia, obrona przed zakłamaniem własnej godności, walka z tym, co jest zaprzeczeniem naszej duszy, dążenie do rozwiązania dręczących pytań — to charakterystyczne rysy tych nowel Dąbrowskiej. Znajdują się w nich istotnie owe "Znaki życia", z których składa się nasza rzeczywistość. Może ich wartość i nadrzędność beznadziejnej codzienności często osłabia szarość prozy, niemniej sygnalizują one nieraz swoje istnienie w ten czy inny sposób. Życie przemija w nieustannej płynności, ale zawsze odzywają się jakieś jego znaki w postaci takich czy innych pytań, które Dąbrowska pragnie rozwiązać na płaszczyźnie ogólnych pojęć dobra. „Jeżeli wam się zdaje, — pisał ksiądz Filip przed śmiercią — żeście źle zawód obrali, że nie wytrwacie w powołaniu, wpomnijcie, że jest na świecie jeden zawód, jedno jedyne powołanie — być dobrym dla drugiego człowieka". Podobnie gniew pani Sztumskiej na niefortunną bibliotekarkę pannę Winczewską załamuje się w głębokim wyczuciu idei wartości człowieka. Ta idea błąka się we wszystkich opowiadaniach, bodaj nawet w tym ostatnim, w którym uwięziony student, opierając się na świadomości, że kawałek znalezionego szkła może go obronić przed wydaniem bliskich mu ludzi, znosi wytrwale prześladowanie. Dąbrowska, głęboki znawca duszy ludzkiej, w której cierpliwie szuka najbardziej zagrzebanych znaków życia, patrzy ze wzruszeniem w objawy załamań i wznoszeń się tych instynktów człowieka, które często są jego najistotniejszą wartością. Chciałby o tych opowiadaniach o wiele więcej powiedzieć, ale trzeba na tym poprzestać — kto potrafi zrozumieć ich ideę i ocenić wartości artystyczne ten powie, że — jest to naprawdę piękna książka.

Inny charakter mają nowele *Poli Gojawiczyńskiej* wydane p. t. *„Dwoje ludzi"* (wyd. Roju). W opowiadaniach Dąbrowskiej myśl przypobleka się rzeczywistą wartością akcji, która prowadzi, dzięki mocnej ekspresji i doskonałej obserwacji, do najściślejszego ich związania z wartościami artystycznymi. U Gojawiczyńskiej opowiadanie ma wartość samą dla siebie, wizja artystyczna jest rzeczywistością, pasja obrazowania wiedzie do mocnego stanowiska różnych typów we właściwym środowisku, które się z ich istotą zlewa, tworząc nierozerwalną całość. To prawdopodobnie jest źródłem realizmu Gojawiczyńskiej. Zdolność chwytania pewnych zjawisk z przyziemnej szarzyzny ułatwia autorce zadanie, nawet można by powiedzieć, że narzuca jej temat, podsuwa wyobraźni, której rola jest już niewielka. Gojawiczyńska fotografuje ludzi raczej od zewnątrz, szuka ich stosunku do realnej rzeczywistości, do otaczającego życia, do świata, który jest w jej opowiadaniach jakby namacalny. Dąbrowska zaś patrzy na ludzi raczej od wewnątrz, od strony ich stosunku myślowego do wszelkich zaobserwowanych faktów. Realizm Gojawiczyńskiej wyrażający się nieraz w oryginalnym stylu, wyraża się w zewnętrznych stosunkach człowieka do otoczenia, a dopiero potem idzie zagadnienie psychiki. Dlatego opowiadania Gojawiczyńskiej to jakby studia portretowe, w których na pierwszy rzut oka poszukujemy zgodności obrazu z rzeczywistością, plastyki. U Dąbrowskiej szukamy myśli, głębi psychologicznej, wartości duchowych jej postaci, problemów. W ostatnim zbiorze opowiadań Gojawiczyńskiej tytuł daje jakby syntezę treści. Mowa o dwojgu ludziach, różnych fazach ich stosunku, podniesionych z jednej strony do wyżyn platonicznych entuzjazmów, kiedy indziej sprowadzonych do brutalnej szarzyzny dnia. Szeroka skala typów, sprowadzonych do zagadnienia starego jak świat, daje szereg obrazów mocnych i plastycznych, w których jedni ludzie są nakreśleni z pasją drobiazgowego obserwatora, inni ledwie poszkicowani, uchwyceni niemal od ręki. Zawsze jednak widać tę samą wydajność obserwacji, to samo poszukiwanie typów. W tej różnorodności, a zarazem tożsamości typów zaciera się nieraz punkt widzenia czytelnika, który wreszcie poczyna tracić wątek orientacji, co jest wynikiem syntetycznej dążności autorki, pragnącej w skali „dwojga ludzi" zmie-



Rozrywki umysłowe Nr 7/98

pod kier. inż. H. Braumanowej czł. Kl. Szar.

I. KONKURS ZADANIOWY (dokończenie).

ZAD. 17. REBUS Z CYKLU „LITERATURA W OBRAZKACH (5 PUNKTÓW).
ul. „K a s t a" — Czł. Kl. Szar.

ZAD. 18 — SZARADA (4 PUNKTY).
uł. „A n e r g" — czł. Kl. Szar.

Trudno się zdobyć na dobry **raz-drugi**,
kiedy nędz tyle **trzy** smutku na świecie,
kiedy komunizm szerokimi strugi
kraj nasz zalewa, **trzy** coraz nas gniecie
troska o jutro, obawa przed wojną,
gdy **dwa-trzy** memento wszystko nam głosi.
My jednak żyjem nadzieją upojną,
że armia nasza nieprzyjaciół wyprosi
z granic Ojczyzny **trzy** mocno ich „schlusta"
ta armia dzielna, dla której skrzydlata
nasza **raz-czwarta-półsześć-trzy-półszósta**,
co to katerę najeźdźców wymiata,
chlubnie wpisując na historii kartach
czyny swe sławne, wspaniałym jest wzorem
Puck i Piławce, **trzy** walki w Inflantach
Wiedeń, Horyniec (omińmy Cecorę!)
chwałą okryły te hufce na wieki,
która udziałem już stała się także
i naszej armii, choć młodej, lecz wielkiej
zwycięstwem, zgnębieniem potęgi wrażej.
Z pomocą więc wojsku wszyscy podążmy
F. O. N. niechaj każdy popiera, jak może,
trudno odrazu, więc dary rozłóżmy
na **szóste-piąte! A wróg nas nie zmoże!**

ZAD. 19. — ARYTMOGRAF — (4 PUNKTY).
uł. **W. Nosé** — czł. Kl. Szar.

Cyfry tekstu zastąpić literami, które otrzymamy po odgadnięciu podanych słów pomocniczych. Litery czytane kolejno, dadzą rozwiązanie.

Tekst. 5, 3, 4—6, 4, 5—14, 7, 15, 4—1, 6, 9, 8, 9, 16, 4—2, 4, 18, 19—6, 4, 5—1, 6, 9—8, 7—11, 4, 10, 18, 4—17, 9, 16, 4. — 2, 4, 12, 7, 6, 9, 13, 3, 18, 19.

Słowa pomocnicze:
1) ogół stałych odbiorków — 1, 2, 3, 4, 5, 6, 4, 2, 7
2) obyczaje, subordynacja: — 8, 9, 10, 4, 11
3) straż przyboczna — 12, 13, 7, 10, 14, 15, 7
4) płaz bezogonowy — 16, 7, 17, 7
5) kaszkiet wojskowy — 18, 19, 7, 1, 9.

ZAD. 20. — SZARADA „POSIEDZENIE" — (4 PUNKTY).
uł. „Dziadek z Bakszty" — Czł. Kl. Szar.

„Tam do **raz-czwartego**" — woła Jasio mały:
„kiedyż z posiedzenia wróci **drugi-czwarty?**"
„Przecież nie widziałem go dziś wieczór cały!..."
A tymczasem w klubie... rżnie tatuńcio w karty,

(walcząc z modą brydża, — gra on w preferansa).
Miała być **dwa-pierwsza trzecia-pierwsza** mała,
lecz gdy się zmieniła na niekorzyść szansa, —
dusza sprawiedliwa odegrać się chciała,

więc tych **trzecich** jakoś więcej dziś wypadło.
Bufet był obficie tam zaopatrzony,
a posiadał dobre i picie i jadło,
przeto „pan i władca" nie tęsknił do żony.

A gdy wrócił wreszcie do domu nad ranem,
grad słownych pocisków spotkał go u progu:
żona dziś się stała **całą** i taranem
dla człowieka, który... „winien ducha Bogu!"...

Na tym kończymy nasz pierwszy konkurs tegoroczny. Rozwiązanie powyższych zadań do dnia 28 lutego r. b. pod adresem redakcji dla kierowniczki Działu R. U. Ważna data stempla pocztowego.

Sprostowanie: w Nr. 6/97 należy poprawić numerację zadań, które w kolejności mają Nr. Nr. 13, 14, 15 i 16. Jednocześnie nadmieniamy, że zadanie telegraficzne w tymże numerze ułożył WP. W. Nosé, a nie Nowe, co niniejszym prostujemy i przepraszamy autora za omyłkę.

KUPON Nr 7/98
ważny do 28 lutego r. b.

Rzeczy ciekawe

NAJGROŹNIEJSZY WRÓG LOTNIKÓW POKONANY.

Mgła, najgroźniejszy wróg lotników, została pokonana. Jak donoszą z Londynu, na jednym z lotnisk angielskich wypróbowano nowy wynalazek pewnego inżyniera angielskiego, pozwalający na **częściowe przynajmniej rozproszenie mgły.** Mgła, jak wiadomo, tworzy się w zetknięciu oparów ziemi względnie wilgotnych warstw powietrza z zimnymi warstwami atmosfery. Aparat wynaleziony przez inżyniera angielskiego wysyła silne promienie cieplne, które nagrzewają dolne warstwy powietrza i płaszczyznę tworzenia się mgły przesuwają w górne rejony atmosfery. W ten sposób **nad lotniskiem tworzy się rejon wolny od mgły i lotnik,** kierowany przy pomocy sygnałów goniometrycznych w stronę lotniska, w krytycznej chwili lądowania znajdzie się na obszarze wolnym od mgły, której pułap znajduje się na wysokości kilkuset metrów, podczas gdy pod mglistym pułapem panuje normalna widoczność. W ten sposób już w najbliższym czasie zniknie główne niebezpieczeństwo, zagrażające bezpieczeństwu podróżujących samolotami.

LUD BEZ JĘZYKA.

Wśród niedostępnych moczarów Amazonki odkryto nieznany dotychczas szczep indyjski, który nie ma swego języka. Indianie tego szczepu posługują się jedynie nieartykułowanymi dźwiękami i mimiką. Najczęściej powtarzanymi dźwiękami są: „kuuu, eruu, geua". Sąsiednie szczepy indyjskie, spotykając się z członkami szczepu „niemych", przezwali go stąd „Kurugua". Wobec obcych, a zwłaszcza białych, Indianie tego szczepu są wybitnie nieufni. Nie znają oni ani wigwamów ani nawet schronów, budowanych z gałęzi. **Jedyną osłoną przed wiatrami i deszczem są dla nich liście olbrzymich palm, z których tworzą coś w rodzaju namiotu,** w zasadzie nie wiele różniącego się od gniazd, budowanych przez niektóre ptaki w puszczach podwzrotnikowych. Indianin szczepu „Kurugua", chcąc okazać swe niezadowolenie z czegoś, tupie lewą nogą, wydając jednocześnie krótki, syczący dźwięk, podobny nieco do syku żmij.

NAJSTARSZY NA ŚWIECIE KAWAŁEK JEDWABIU.

Wiadomość o możliwości przeróbki z kokonów jedwabiu dotarła do Europy dopiero za czasów Aleksandra Wielkiego (336—323), gdy tymczasem Chinczykom wyrób jedwabiu znany był już oddawna.

Najstarszy kawałek jedwabiu został znaleziony przez Sir Aurela Stone również we wschodnim Turkiestanie. Za tymi odkryciami nastąpiły dalsze w pustyni Hebi. Tu znaleziono resztki jedwabiu, które liczą także parę tysięcy lat. Na znalezionych kawałkach jedwabiu w pustyni Lop znajdują się przepiękne wzory smoków oraz ślimaków.

——x——

ścić jak najwięcej charakterystycznych obrazków. Ten cel prowadzi też często do odwrotnego wyniku — typowość staje się szablonem i traci możność narzucania się wyobrazni czytelnika, człowiek zaciera się, zostaje pozbawiony charakterystycznej typowości.

Dwutomowa książka *K. L. Konińskiego* p. t. *„Pisarze ludowi, wybór pism i studium o literaturze ludowej"*, wydana jako t. 4 Biblioteki dziejów i kultury wsi, jest dziełem, które powinno zainteresować nie tylko specjalistów i miłośników twórczości ludowej, ale również stać się lekturą szerokich warstw czytelników. O literaturze ludowej dzisiaj mówi się dość wiele, prowadzi się dyskusje i rozważa nad jej wartością socjologiczną i artystyczną, rzuca się hasła jej pielęgnowania i popierania utworów wyrosłych z wsi i przez wiejskich poetów napisanych, w rzeczywistości jednak znajomość tej literatury jest u nas jeszcze bardzo ograniczona. Tu i ówdzie padnie jakieś nazwisko, a przy tym sentymentalne słowa uznania, które płyną po największej części ze snobizmu, a nie z rzetelnej znajomości przedmiotu. Prawdę mówiąc, dotarcie do tej literatury jest dość trudne, utwory pisarzy wiejskich najczęściej rozproszone są po czasopismach ludowych, rzadko wychodzą w oddzielnych wydawnictwach, są więc prawie nieznane. A jednak, na bok odrzucając wszelki sentymentalizm, a kierując się jedynie kryteriami artystycznymi, odkrywamy w tej poezji, rozproszonej po czasopismach ludowych wiele istotnych piękności. Pamiętam jak ogromne wrażenie wywarł na mnie utwór mistyka chłopskiego Piotra Borowego p. t. „Sąd grzesznika nad samym sobą"; ilez tam wspaniałej liryki i głębokiej myśli. Dlatego książka Konińskiego jest nie tylko pożyteczną, nie tylko należy rzucić sporo słów wielkiego uznania dla sumienności i rzetelności jej przygotowania, ale jest również potrzebna, bo odkrywa przed nami nową gałąź naszej literatury, nieznanej, a naprawdę wysokowartościowej. Jest to antologia literatury ludowej, ale również coś o wiele więcej. Koniński poprzedza wybór tekstów obszernym wstępem, w którym zastanawia się nad wieloma zagadnieniami, związanymi z pojęciem oraz istotą literatury ludowej. Można się z nim spierać w niejednej kwestii, np. czy definicja ludowości w jego pojęciu jest już zupełnie wyczerpująca, pozostawiając jednak te sprawy specjalistom do rozstrzygnięcia należy stwierdzić że obszerny wstęp Konińskiego jest nie tylko pożytecznym wprowadzeniem do antologii, ale również pierwszą pracą poruszającą zagadnienie literatury ludowej w tak szerokim zakresie, zwłaszcza, że gdyby kto chciał w tę czy inną kwestię dalej się zagłębić, znajdzie do niej liczne wiadomości bibliograficzne, w które Koniński swoją książkę zaopatruje. Ale i to jejeszcze nie wszystko. Autor daje o wiele więcej, niżeli można się spodziewać, bo pierwszy w naszej literaturze zarys literatury ludowej. Nie ogranicza się tylko do wyboru tekstów, ale również każdego pisarza poprzedza biografią, bibliografią i oceną, każdy tekst zaopatruje objaśnieniami, wsprowadzającymi czytelnika w krąg myśli pisarza, podnoszącym wartości artystyczne jego utworu. A trzeba przy tym wiedzieć, że wyjaśnienia biograficzne czerpie Koniński zawsze z pierwszej ręki, tzn. bezpośrednio od samych pisarzy. Jest to więc dla jednych ciekawy obraz naszej twórczości ludowej, dla innych doskonały materiał do szerszych studiów, wychodzących poza zamierzenia autora. Wystarczyłoby teraz skończyć kilkoma słowami zdawkowego zachwytu nad twórczością ludową, której obraz tak szeroki znajdziemy w książce Konińskiego, pozostawiam to jednak czytelnikowi, który przeczytawszy oba tomy, przekona się, że czasu nie stracił — warto było dla tej książki odłożyć nawet najciekawszą powieść. Jeszcze końcowa uwaga — czy władze szkolne nie powinny jej polecić na lekturę dla uczniów?

Również bardzo pożytecznym wydawnictwem jest książka pt. *„Skarbiec Polski"* (wyd. Katol. Związku Młodz. Żeńskiej i Męskiej), zawierającą wyjątki z literatury polskiej do użytku scenicznego, w opracowaniu *Marii Dynowskiej.* Jest rzeczą znamienną, że tego rodzaju wydawnictwa zazwyczaj ofcijalna krytyka pomija milczeniem, chociaż może właśnie one zasługują na specjalne wyróżnienie, bo uczą nie tylko literatury w słowie czytanym, ale również w słowie słyszanym ze sceny. Dynowska jest znaną poetką, autorką wielu książek dla młodzieży i historyczką literatury, toteż posiada te wszystkie wartości, które są niezbędne przy tego rodzaju wydawnictwach. Wyczuwa psychikę młodzieży, rozumie w czym znajduje ona najgłębsze upodobania, wie w jaki sposób te czy inne zagadnienia zawarte w naszej poezji młodym czytelnikom podać. W Skarbcu znajdujemy fragmenty utworów scenicznych i poezji, zastosowanej, bądź to dla zespołów teatralnych, bądź też do zbiorowej deklamacji. Odpowiedni dobór tekstów, począwszy od Kochanowskiego, a skończywszy na Staffie, to wysiłek nielada. Zwłaszcza, że Dynowska poszła znacznie dalej, niżeli dotychczasowe tego rodzaju zbiorki, nie zadowoliła się staranną selekcją tekstów, ale zaopatrzyła je również odpowiednimi komentarzami. Fragmenty dzieł każdego pisarza poprzedziła lekko podaną biografią oraz wprowadzeniem do dzieła; wskutek tego znajdzie się tutaj również materiał do pogadanek, które można ilustrować bądź to odpowiednią deklamację, bądź też odegraniem odpowiedniego fragmentu. Materiał pogadankowy podany w formie przystępnej i wyczerpującej wszystko co o tym czy innym pisarzu wiedzieć należy. Jest to książka pod każdym względem godna najgorętszego polecenia nie tylko dla związków młodzieżowych, ale również niezbędna dla każdej szkoły.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Szerokim echem odbiło się w świecie katolickim zamordowanie w Szanghaju prezesa Akcji Katolickiej w Chinach, Lo-Pa-Hong. Zginął w tajemniczych okolicznościach na terenie francuskiej koncesji. Wrażenie wywołane tą śmiercią pochodziło stąd, że ś. p. Lo-Pa-Hong był znany w całym świecie katolickim ze swych nadzwyczajnych przymiotów ducha i cnót chrześcijańskich.

WIELKI CHRZEŚCIJANIN LO-PA-HONG.

Nazywano go chińskim Wincentym à Paulo; zamożny Lo-Pa-Hong nie tylko organizował charytatywne dzieła pomocy biednym, ale sam bez przerwy świadczył ze swego mienia na te cele. Był znany z tego że nie odmawiał żadnej prośbie i żaden biedny nie odchodził od jego drzwi z pustymi rękami. Sam żył nadzwyczaj skromnie; wszystkie zaś dochody obracał na cele dobroczynne.

Dobroczynną swoją działalność rozwinął szczególnie w czasie najazdu japońskiego. Stał się — jak pisze „Journal de Changhai" — „prawdziwą Opatrznością dla ludności Szanghaju w okresie największego nieszczęścia ojczyzny". Dwoił się i troił w trosce o los nędzarzy, chorych, starców, kobiet i dzieci, których brutalna agresja Japonii pozbawiła schronienia i środków do życia.

Musiał być dla kogoś bardzo niewygodnym, skoro został przemocą usunięty z widowni. Pozostaje po nim w katolickich Chinach pamięć człowieka cnót bohaterskich i wielkiego chrześcijanina.

DZIEŃ DOBRZE PRZEŻYTY.

„Journal de Changhai" tak opisuje dzień ś. p. Lo-Pa-Honga:

„Wstawał o wschodzie słońca i wysłuchawszy trzech Mszy św. następnie odwiedzał swoje szpitale (które zbudował i utrzymywał własnym kosztem) i swoje fabryki, brał udział w sesji rady administracyjnej tych zakładów, rozstrzygał jakiś spór, decydował o przyjęciu jakiegoś sanitariusza. Zajmował się najdrobniejszymi szczegółami... Z radością spieszył do szpitali, by ochrzcić jakiegoś umierającego Chińczyka, o którym mu dano znać, a wieczorem — szczęśliwy, choć zmęczony — przypominał sobie o jakiejś uroczystości w kościele św. Piotra lub św. Józefa i spieszył złożyć bukiet kwiatów przed Najśw. Sakramentem.

Albowiem tym, co trzymało ten żywot tak czynny i tak hojny w udzielaniu się drugim, była wiara chrześcijańska prosta, a mocna. To była cecha dominująca w tej indywidualności energicznej, odznaczającej się niezachwianym optymizmem, której klęska lub nieszczęście nie pozbawiało równowagi ducha dłużej, niż na parę minut. Nie trzeba było żyć z Lo-Pa-Hongiem, wystarczało z nim rozmawiać przez kilka chwil, by sobie zdać sprawę z żywotności jego wiary. Rozmawiając z nim staliśmy nie na gruncie spraw gospodarczych i interesów materialnych, nawet nie na platformie „humanitaryzmu", lecz na gruncie religii".

PRZYSIĘGA HISZPAŃSKICH MINISTRÓW.

Przenieśmy się teraz na drugi teren wojenny... Do Hiszpanii!

Ostatnio zaszła tam pewna zmiana, która zapewne nie oznacza zasadniczego zwrotu w losach wojny domowej, ale stanowi ważny wypadek w życiu narodowej Hiszpanii. Powstał nowy rząd, którego premierem został jen. Franco.

Zaprzysiężenie nowego rządu miało charakter bardzo uroczysty. Odbyło się w Burgos w pałacu, stanowiącym siedzibę jen. Franco; ministrowie przysięgali na cenny zabytek historyczny, krzyż z kości słoniowej i złota, który wojskom hiszpańskim towarzyszył w czasie bitwy pod Navas de Tolosa, w r. 1212., która mu przyniosła zwycięstwo nad Arabami, — i na manuskrypt Ewangelii z 13 w. Rota przysięgi brzmiała: „W imię Boga i na święte Ewangelie przysięgam, że swoje obowiązki ministra Hiszpanii będę spełniał z największą wiernością dla głowy państwa, naczelnego wodza sił zbrojnych, i dla zasad narodowego ustroju, w ustawicznej służbie świętej sprawie ojczyzny". Każdemu z przysięgających jen. Franco odpowiadał: „Niech cię Bóg nagrodzi, gdy to spełnisz, a niech cię sądzi, gdy nie spełnisz".

RELIGIJNY STAN PORTUGALII.

Z Hiszpanią sąsiaduje Portugalia. Jak wygląda jej stan religijno-moralny pod rządami Salazara? Ciekawe informacje na ten temat podaje katolicka agencja międzynarodowa, „C. P.".

Salazar, dobry katolik i mąż stanu, który stale podkreśla swą wolę realizacji zasad enc. „Quadrag. anno", napotyka na duże trudności, jeśli chodzi o prace katolickie. Portugalia dzisiejsza ma na swoim czele ludzi, którzy z początkiem 20 w. wychowali się w atmosferze liberalizmu religijnego, z którego ten kraj słynął. „C. P." twierdzi, że największe trudności spotykają Salazara w tej dziedzinie ze strony bogatej burżuazji i armii, której korpus oficerski konserwuje dawne, antykatolickie, tendencje.

Skutkiem tego także akcja misyjna w koloniach portugalskich natrafia na duże trudności zwłaszcza ze strony administracji i wojska. Ostatnio n. p. z Mozambiku wyjechało zgromadzenie zakonne francuskich misjonarzy, ponieważ — jak brzmiało uzasadnienie wyjazdu — zakonnicy „nie chcieli tracić czasu na jałowe spory z władzami skoro przybyli szerzyć wiarę chrześcijańską". *Pejot.*

Z obcej niwy

Optymizm, czy pesymizm?

Wahamy się często w ocenie zjawisk życia. Raz ulegamy pesymizmowi, raz optymizmowi. Co jest słuszne? Przedstawicielem kierunku pesymistycznego w Polsce współczesnej jest prof. Zdziechowski. Jest to jednak pesymizm „sui generis". Jest alarmem zaniepokojonego o los chrześcijaństwa myśliciela, a nie jest beznadziejnością. Wielu pisarzy zastanawia się nad tym, co właściwie zgodne jest z chrześcijaństwem: pesymizm, czy optymizm?

Myśl pesymistyczna o supremacji zła odgrywała ważną rolę już w herezjach pierwszych wieków chrześcijaństwa. Na pytanie skąd zło pochodzi, gnostycy odpowiadali, że

zło pochodzi z materii;

bo widzieli w złem jakąś potęgę kosmiczną, która powstaje w walce z pierwiastkiem dobra i przez ten pierwiastek nie może być zupełnie pokonaną.

W XVI wieku ukazuje się znowu pewien rodzaj pesymizmu w ówczesnych doktrynach „reformatorskich". Pesymizmem tchną owe doktryny o tyle, że twierdzą, jakoby natura tak się skaziła skutkiem grzechu pierworodnego, że wygasły w niej wszelkie ślady dobra. Z tej radykalnie zepsutej natury — powiadają reformatorzy — tylko zło pochodzić może, złem też są nacechowane wszystkie czyny ludzkie, a człowiek zupełnie utracił skłonność do dobrego.

Według nauki katolickiej jest inaczej: zło, cierpienie — nie jest jakąś ślepą fatalnością, powstało jedynie z pewnej konstelacji czynników fizycznych; ma ono raczej znaczenie etyczne, jest karą grzechu. Kto ma na widoku tylko naturalną stronę zła i cierpienia, dla tego „nędza bytu" pozostanie zawsze ciemną zagadką; pesymizm wcale jej nie wyjaśnia. Według nauki Kościoła wybawienie od zła i cierpienia jest uwarunkowane wybawieniem od grzechu, gdyż fizyczne zło w świecie jest karą zła moralnego, to jest grzechu. Lecz wybawienie od grzechu jest tu możliwe.

Ponieważ w Chrystusie Zbawcy świata cierpienie i boleść zamieniły się w ofiarę miłą Bogu i niosącą zbawienie, przeto takiego samego charakteru nabiera takie cierpienie tych wszystkich, którzy wierzą w Chrystusa i w duchu miłości jednoczą się z Jego osobą. Odtąd cierpienie nie jest już jedynie karą grzechu; jeżeli człowiek znosi je cierpliwie, jeżeli jednoczy je z cierpieniem Odkupiciela, wtedy staje się ono dla niego również ofiarą, którą Bogu składa i źródłem zasługi do żywota wiecznego.

Chrześcijańskie pojmowanie świata trzyma się więc raczej

kierunku optymistycznego, a nie owego optymizmu absolutnego,

który głosi doktryny o tworzeniu „raju na ziemi". Chrystianizm nie łudzi się nadzieją, że tu na ziemi rodzaj ludzki kiedyś dojdzie do takiej doskonałości, że wszelkie zło i wszelki błąd ustąpi z człowieczeństwa... Tu na ziemi bowiem ludzkość może się tylko zbliżyć do najwyższego celu, cel ten wszakże dopiero w przyszłym życiu będzie osiągnięty.

Nauka Kościoła nie jest nieprzyjazna światu, kulturze i idei postępu w tym znaczeniu, jakoby wszelkie zetknięcie się z rzeczami i sprawami ziemskimi kaziło duszę człowieka, owszem poczytuje ona dobra ziemskie za środek, mający służyć człowiekowi do osiągnięcia dobra najwyższego... Znaczy to, że w zakresie stosunków socjalnych i ekonomicznych człowiekowi wskazany jest postęp, że człowiek powinien ciągle dążyć do doskonalenia się także w życiu społecznym.

„Konsekwentny katolik — słusznie podkreśla niemiecki myśliciel, A. Stöckl — powinien wszelkimi siłami dążyć do tego, aby usunąć nadużycia, jakie w biegu czasów zakradły się do życia socjalnego i ekonomicznego; powinien ciągle pracować nad takim ukształtowaniem stosunków społecznych, ażeby nędza i wszelki niedostatek coraz bardziej, o ile to możliwe, zmniejszały się w łonie społeczeństwa, aby dla wszystkich, na jakimkolwiek stoją szczeblu społecznym, dostępne było życie możliwie dogodne i uczciwe". *K. A.*

Kościół spójnią średniowiecznej Polski

W ramach wieczorów dyskusyjnych w Akcji Katolickiej dn. 8 bm. ks. prof. dr. Zdzisław Obertyński wygłosił odczyt p. t. „Kościół spójnią średniowiecznej Polski".

Prelegent zaznaczył na wstępie, że w środowiskach niechętnych Kościołowi odgrywa u nas znaczną rolę nieznajomość dziejów stosunku Kościoła do Państwa Polskiego. Ludzie nie zdają sobie sprawy z ogromnych zasług Kościoła katolickiego dla naszej Ojczyzny. Kościół stał u kolebki Piastowskiej Polski. Wprowadził chrześcijańską Polskę do rodziny narodów europejskich, zaszczepił na naszym gruncie cywilizację łacińską, chronił przed zaborczością sąsiada zachodniego, był obrońcą jedności narodowej. Gdyby Polska Mieszka I nie stała się katolicką, czekałby ją niewątpliwie los Słowian połabskich, wytępionych przez Niemców. Nie jest rzeczą pewną kto ogłosił młode państwo Polskie dziedzictwem św. Piotra, czy uczynił to Mieszko I, czy też Bolesław Chrobry — ale taka zależność formalna od Stolicy Apostolskiej hamowała rozpęd cesarzy niemieckich w kierunku dzierżaw Piastowskich. W dążeniu do korony królewskiej, symbolu niezawisłości, Chrobry oparł się o Kościół. Warunkiem koronacji było istnienie w kraju własnej metropolii. Stolica św. idzie Polsce na rękę, ustanawiając metropolię gnieźnieńską. Po zwalczeniu różnych przeszkód koronacja Bolesława dochodzi wreszcie do skutku.

Bunt pogański i najazd czeskiego Bratysława na Polskę niszczy niebawem organizację kościelną w Polsce. Po raz drugi, po krótkim istnieniu arcybiskupstwa w Krakowie (metropolita Polski Aron) tworzy się za Bolesława Śmiałego, prowincja kościelna gnieźnieńska. Powstają nowe biskupstwa. Bolesław Krzywousty włącza do metropolii gnieźnieńskiej Pomorze. Kościół ugruntowując w Polsce wiarę i szerząc oświatę, staje się najważniejszą spójnią państwową. Ta rola Kościoła w sposób szczególny ujawnia się w dobie podziałów i walk dynastycznych pomiędzy Piastowiczami. Kościół w tych sporach jest mediatorem i sędzią. Chociaż podzielona na odrębne księstwa i księstewka, Polska nie przestaje być całością pod względem kościelnym. Gdy książęta zaczynają frymarczyć swym dziedzictwem, z Polski dochodzi do Rzymu wołanie o położenie kresu tym praktykom. I oto Inocenty III ogłasza przez legatów swych zakaz przyłączania do Niemiec najmniejszej chociażby cząstki Polski.

Gdy zaś kolonizacja niemiecka w Polsce na przełomie wieków XIII i XIV groziło germanizacją rdzennie polskiej ludności, walczy dzielnie z tym zjawiskiem arcybiskup Jakub Swinka. Dba on o to, by lud modlił się w języku polskim i sprzeciwia się sprowadzaniu do Polski niemieckich Minorytów.

Nowonawrócona Litwa staje się częścią gnieźnieńskiej prowincji kościelnej. Druga metropolia halicka (lwowska) jest również uzależnioną od arcybiskupa gnieźnieńskiego, jako prymasa Królestwa.

Kościół popiera plany Kazimierza Wielkiego, Jadwigi i Jagiełły co do akademii krakowskiej, która szybko dochodzi do znaczenia i wydaje szereg mężów wielkiej cnoty i nauki.

W dobie soboru Konstancyjskiego, Polska pod względem cywilizacyjnym bynajmniej nie stoi niżej od innych w Europie. Była to zasługa Kościoła, który też w wielkim sporze Polski z Krzyżakami, stanął po naszej stronie.

Kościół życzliwość swą dla Polski przedrozbiorowej zachował do ostatka. Stolica święta nie uznała rozbiorów a Nuncjusz Litta, gdy Warszawa była już miastem pruskim, przez dwa lata nie opuszczał jeszcze naszej stolicy... (KAP).